

DZIENNIK WILEŃSKI

Dodatek kulturalno-literacki

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dzieje obrazu Matki Boskiej w Myślenicach

Cudowny obraz Matki Boskiej w Myślenicach, który wśród różnych zawieruch jako najcenniejszy zabytek z czasów wójtowskich Myślenic z doby współczesnej do dziś dnia pozostaje, ma ciekawą historję.

Obraz ten przez długie lata był własnością prywatną papieża Sykstusa V. w Rzymie w jego apartamentach i stanowił dla niego najcenniejszy klejnot. W r. 1590 zapisał go w testamencie swojej krawnej księni i przełożonej zakonu w Wenecji. Magnaci polscy, szczególnie wyżsi dostojnicy państwa wskutek stosunku politycznego, datującego się głównie od czasów królowej Bony, jeździli często do Włoch, do Rzymu i Wenecji i nieraz składali różne ofiary czy to dla papieża, czy poszczególnych kościołów lub klasztorów.

Jednym z takich był książę Jerzy Zbarawski, kasztelan krakowski, który otrzymał od księni zakonu, krawnej papieża Sykstusa V, wspomniany obraz, aby był morzem łask dla jego domu i całego narodu. Książę Zbarawski przywiózł go do Polski i przez 20 lat był w jego mieszkaniu „w wielkiem poważaniu”. Kiedy w r. 1624 wybuchło w Krakowie morowe powieź, pochłaniające tysiące ofiar, książę kazał swojej służbie wszystkie rzeczy znajdujące się w jego mieszkaniu wywieźć za wiślaną bramę i spalić, aby w ten sposób odkazić mieszkanie. Służba księcia, Gojski, kucharz, wyznania kalwińskiego, wraz z 3 swymi pomocnikami, Wojciechem Molborskim, St. Jastrzębskim i St. Krzeczą, załadowali wszystkie rzeczy i wywieźli na miejsce spalania.

Wtem nadszedł oficjalista księcia, Marcin Grabysza, rodem z Górnej Wsi, przedmieścia Myślenic, zobaczywszy piękny obrazek między rzeczami, prosił Gojskiego, aby mu go podarował. Gojski jako kalwin nie przywiązując do niego większej wagi, zgodził się, ale pod warunkiem, aby o tem nikomu nie mówił i aby go ukrył przed księciem. Po spaleniu wszyscy udali się do Łagiewnik, wsi księcia, dla odkażenia się.

Grabysza również poszedł z nimi, zabierając obraz, który przez cztery lata przechowywał w swoim pokoju w Łagiewnikach. W najbliższą sobotę wieczór, gdy kucharz przygotowywał kaszę na kolację, poczęł wyśmiewać się z obrazu Grabyszy i w żarcie wobec pomocników rysował podobiznę obrazu na kaszy. Za każdą rysą pojawiła się krew, w końcu uczuł zdrętwienie ręki, z której wypadł mu nóż. Przerażony tem zjawiskiem, dla wszystkich z otoczenia nadzwyczajnem, ślubił, że jeżeli wyzdrowieje, to przejdzie na wiarę katolicką. Po złożeniu ślubie natychmiast wyzdrowiał, poczem nazajutrz udał się na Kalwarię i tam wstąpił do zakonu. Za jego przykładem wstąpił również Molborski do zakonu OO. Bernardynów w Krakowie, zaś Jastrzębski został świeckim kapłanem.

Fakt ten, stwierdzony przy późniejszym badaniu, przebrzmiałby bez większego echa, gdyby nie nowy wypadek, jaki wydarzył się posiadaczowi obrazu, Grabyszy. Grabysza, dowiedziawszy się o całym zajściu, przeniósł obraz z Łagiewnik do swojego prywatnego domu do Myślenic

na Górne Przedmieście i tu ukrywał go przed okiem księcia. Tymczasem po kilku latach, mianowicie 1 maja 1633 r., poczęły się dziać niezwykle zjawiska z obrazem księcia.

Na twarz Matki Boskiej i Pana Jezusa zaszła mgławica „jakby subtelna jedwabnica”. Na włosach twarzy pojawiały się krople potu, to znów znikały, to znowu rozchodziła się od obrazu „woń rozmarynowa, różana i fiołkowa”. Wieść rozeszła się o tem po całej okolicy, ludność poczęła się modlić do powyższego obrazu, doznając licznych cudownych uzdrowień.

W końcu zajęły się tym obrazem krakowskie władze kościelne. Na polecenie współczesnego biskupa zjechał do Myślenic Ks. Erazm Kretkowski i po ścisłych dochodzeniach i badaniach pochodzenia obrazu Matki Boskiej, po przesłuchaniu świadków Gojskiego, Grabyszy i wielu innych, którzy doznali cudownego uzdrowienia i po naradach teologów krakowskich wydał dekret, uznający powyższy obraz za cudowny.

Obraz, który na czas inkwizycji kościelnej przeniesiono z domu Grabyszy do specjalnej skrzyni w zakrystii kościoła parafialnego w dniu 2 lipca 1633 po powrotnym przybyciu ks. Erazma Kretkowskiego jako archidjakona i wikariusza biskupiego w dzień Nawiedzenia Panny Marji został wśród wielotysięcznego tłumu okolicznej ludności i wielkiej liczby duchowieństwa wydobyty i po uroczystej procesji własnoręcznie przez archidjakona ks. Kretkowskiego umieszczony na ołtarzu kościoła parafialnego, przed którym odprawili pierwszą solenną mszę świętą.

Dzień więc 2 lipca 1633 r. jest bardzo ważnym dla historii Myślenic, jest bowiem dniem ogłoszenia obrazu Matki Boskiej Myślenickiej za cudowny i oddania go do publicznej czci wiernym katolikom. To też każda rocznica powinna być dla myśleniczian ze szczególną uroczystością święcona i obchodzona.

W dniu 2 lipca 1933 przypadł jubileusz 300 letniej rocznicy uznania obrazu Matki Boskiej w Myślenicach za cudowny, w którym to dniu i roku cudowny obraz Matki Boskiej powinien zostać uroczystie koronowany na podziękowanie za niezliczone łaski, jakich doznała za Jej pośrednictwem w ciągu 300 lat ludzkość i nasza Ojczyzna w różnych potrzebach.

Od chwili uznania obrazu Matki Boskiej w Myślenicach za cudowny i oddania go do publicznej czci poczęły się mnożyć liczne cuda, których w ciągu następnych 8 lat zanotowano w księgach kościelnych i miejskich w liczbie 1428. Za doznane łaski składano jako wota cudownego obrazu do skarbcza kościelnego: np. Stanisław Koniecpolski, hetman koronny, srebrną tablicę, regimentarz Gumiński szablę złotą, miecznikowa Zebrzydowska złotą koronę, Anna Lubomirska kasztelanowa wojnicka 4 pary złotych łańcuchów, Andrzej Czarnecki, burgrabia krakowski, złoty pierścień z kosztownym djamentem, Jan z Tenczyzna, wojewoda krakowski, 3 srebrne wieczne lampy itd.

Współczesny proboszcz myślenicki, ks. Wojciech Ofiarowicz, bakałarz filozofii Akad. Krak., wszystkie wota zebrane w ciągu 8 lat oszacował na 40.000 złp. Za

staraniem ks. Wojciecha Ofiarowicza i ks. Erazma Kretkowskiego, archidjakona biskupa w Krakowie ustanowiono przy kościele parafialnym w Myślenicach w 1636 r. „mansonerję”, złożoną z 5 księży, mieszkających w osobnym budynku, których jedynym obowiązkiem było dla oddania większej czci Matce Boskiej, odprawianie nabożeństwa kolejno przed cudownym obrazem. Na utrzymanie „mansonerji” ofiarował ks. Ofiarowicz 16.000 złp. i zabezpieczył je na dobrach Zawada, Sroszycy i Kośmice.

Na pomieszczenie cudownego obrazu Matki Boskiej myślenickiej wybudował kasztelan krakowski St. Koniecpolski w r. 1642 wspaniałą kaplicę z ciosowego kamienia, o czem świadczą do dziś istniejące herby „Podkowa” na sklepieniu kaplicy i jeden nad mniejszymi drzwiami. Miasto Myślenice stało się sławnem nie tylko na całym Podhalu, Spiżu i Orawie i w całej Polsce, nawet zagranicą.

Dowodzi tego fakt, że księżna de Guébriant, jako posłowa Francji na dwór króla Władysława IV., rozmyślnie podróż swą skierowała „aby to sławne miejsce odpustowe w Myślenicach zwiedzić i tam się pomodlić”. Nic dziwnego, że z licznych pielgrzymek odpustowych mieszczanstwo myślenickie ciągnęło także zyski materialne, co przyczyniło się w wysokim stopniu do podtrzymania ekonomicznego miasta. W czasie trwania bogatych „odpustów myślenickich” rozwinął się handel kramarski, szczególnie malarzy domorskich, którzy z podobizn cudownego obrazu Matki Boskiej, przez nich robionych, ciągnęli od pątników wielkie korzyści. Podobizny i różne mnziej lub więcej udane kopje, spotykamy jeszcze dzisiaj prawie w każdym domu staromieszczańskim w Myślenicach, na całym Podhalu, Spiżu i Orawie.

Jedną z takich głównych kopii obrazu Matki Boskiej myślenickiej jest dzisiejszy obraz Matki Boskiej Kalwaryjskiej, którą kazała rodzina Lancokorońskich i Zebrzydowskich sporządzić dla kościoła kalwaryjskiego, a który to obraz uznany został za cudowny, a nawet przed 25 laty koronowany pod nazwą Matki Boskiej Kalwaryjskiej. Liczne cuda, jakich doznawano za pośrednictwem Matki Boskiej w Kalwarii, zbudowanie kaplic Drogi Krzyżowej, spowodowało upadek bogatych odpustów myślenickich.

Z pominięciem Myślenic pobożne rzesze pątników skierowywały swe pielgrzymki do Kalwarii Zebrzydowskiej, której wspaniałość kościoła, klasztoru, liczne kaplice, robiły silniejsze wrażenie. W ten sposób Kalwaria Zebrzydowska stała się niejako Mekką odpustową dla całego Podhala, Śląska, Spiża, Orawy i reszty ziem Polski.

Mimo to myślenickie odpusty i sama cudowność obrazu nie zatracala na swej wartości. Świadczyły o tem mnożące się w skarbcu kościoła parafialnego coraz liczniejsze wota wielkiej wartości.

Wszystkie wota złote, srebrne, bezcennej wprost wartości, zabrał pod pozorem ochrony przed najazdem Szwedów w roku 1655 ówczesny ks. Jan Kazimierz Belza, proboszcz parafji myślenickiej i zastawił je w Krakowie, a pieniądze roztrwonil w

Kieżmarku, uchodząc przed inwazją nieprzyjacielską. Proboszcz ten, według współczesnych urzędowych aktów „przywłaszczał sobie grunta mieszczańskie, pozabawił wikariuszy i mansjonarzy funduszów na utrzymanie, prowadził życie awanturnicze i niemoralne, zanędnywał pieczę dusz i kościoła, za co został uwięziony z polecenia biskupa A. Trzebiskiego na zamku w Borzęcinie. Po długich dochodzeniach i procesach kościelnej władzy w r. 1669 został restytuowany na probostwo myślenickie przez papieża Klemensa pod warunkiem przysięgi, że zwróci kościołowi i kaplicy Matki Boskiej, co sprzedał lub co z jego winy się zmarnowało. Tytułem niejako ekspiacji po ukończonej wojnie szwedzko-polskiej ufundował ks. Belza dla kościoła parafialnego dzwon o średnicy 1 m. z napisem „Joannes Casimirus Belza, parochus a. d. 1660.

Po śmierci jego probostwo myślenickie objął w r. 1683 ks. Teodor Połocki, późniejszy biskup warmiński i arcybiskup gnieźnieński, który bardzo gorliwie zapiekiował się kościołem parafialnym i skarbcem kościelnym. Szczególnie uprządkował całą gospodarkę parafjalną, odrestaurował spalony kościół, w czem doznawał wielkiego poparcia przez ówczesnego kasztelana krakowskiego Stanisława Warszyckiego.

Mimo spalenia kościoła parafialnego przez Szwedów w r. 1655 i późniejszych pożarów, oraz zmarnowania bogatych wotów, stwierdzić należy, że cudowny obraz Matki Boskiej myślenickiej sam jako taki nie niszczał, a liczne wota i zapisy spotykane w księgach miejskich aż do najnowszych czasów świadczą o wielkiej jego sławie i znaczeniu wśród wyznawców kościoła katolickiego i gorliwych opiekunów kościoła parafialnego, jakimi byli późniejsi księża proboszczowie.

Do najpiękniejszych fundacji w r. 1758 należy zapis podchorążego wojsk polskich Jana Krzelczyce Mroźka, który darował 2.000 złp. i zabezpieczył na dobrach Stojowice dla proboszcza myślenickiego i jego następców po wieczne czasy z obowiązkiem utrzymywania z procentów 2 trębaczy, którzyby codziennie z rana i z wieczora wygrywali pieśni pobożne na cześć Matki Boskiej myślenickiej z wieży kościelnej lub na cmentarzu. Obowiązek ten spełniają po dzień dzisiejszy proboszczowie z tą tylko zmianą, że trębacze odgrywają pieśni pobożne przez cały maj, jako miesiąc poświęcony Matce Boskiej.

Kult i cześć do Matki Boskiej myślenickiej historycznie stwierdzona w ciągu 300 lat, liczne cuda, szczególnie cudowne ocalenie miasta i powiatu Myślenic, a tem samem ocalenie Krakowa w roku 1914, powinno skłonić szlachetne serca duchowieństwa, właścicieli dóbr, mieszczanstwa i rzesze katolickie do wnoszenia ofiar na ręce ks. dr. Andrzeja Kościółka, proboszcza i dziekana parafji Myślenic na koszt starani u władz kościelnych o dokonanie koronacji cudownego obrazu Matki Boskiej w Myślenicach jako aktu wdzięczności za wylanie morza łask dla grodu i całej Ojczyzny.

Prof. Ludwik Sikora.

Niepożądani goście z zaświatów

Przed 31 laty, dnia 30 czerwca 1908 zdarzył się w przestrzeniach międzyplanetarnych niezwykle wypadek, który — mówiąc naszym ziemskim, dziennikarskim stylem — można by zamieścić w rubryce „zderzenie się dwóch pojazdów“.

Olbrzymi meteoryt, masa żelaza, ważył kilkudziesięciu, a może i kilkaset tonn, zetknął się z drogą obiegu ziemi i pod wpływem siły przyciągania runął z piekielnym hukiem na naszą biedną planetę.

Na szczęście spadł w głębi niedostępnej, odludnej syberyjskiej tajgi, w pobliżu rzeki Podkamienną Tunguska, dopływu Jeniseju. Mówimy „na szczęście“. Bo gdyby ów gość z zaświatów runął na Paryż, Londyn, czy N. Jork, — w ciągu paru minut nie pozostałby z nich kamień na kamieniu, a setki tysięcy ludzi zginęłyby w płomieniach.

O niestychanej sile, z jaką taki gość z zaświatów spada i uderza o ziemię, świadczy fakt, że obserwatoria astronomiczne nie tylko na Syberji, w Irkucku (w odległości 1000 klm.), lecz i w Europie (Jena Wiedeń) zanotowały w chwili jego spadku silne wstrząsy podziemne.

Rząd sowiecki wysyłał już dwukrotnie, w r. 1921 i 1927 ekspedycje naukowe na Syberję, celem odszukania miejsca, gdzie spadł ów meteoryt i przeprowadzenia naukowych badań. Ekspedycje, pod kierownictwem prof. Leonida Kulika, nie mogły dotrzeć na miejsce. Stwierdzono jedynie, że w miejscu, gdzie dawniej rozpościerał się niezmierzony las dziewiczy, dziś powstała olbrzymia kotlina. W promieniu kilkudziesięciu kilometrów rozpościera się przerażająca pustka: tu i ówdzie tylko sterczą nagie pnie drzew, powyrywanych z korzeniami lub głębokie jamy, nieraz o średnicy kilkunastu metrów, — to otwory, wyłobione przez drobniejsze odłamki meteorytu.

Tego rodzaju wypadki zdarzają się stosunkowo bardzo rzadko. Zazwyczaj meteoryt rozpryskuje się na dziesiątki i setki drobniejszych odłamków, które wwiercają się głęboko w skorupę ziemską, nie pozostawiając żadnych widoczniejszych śladów.

Temniemniej spotkać można na ziemi szereg kraterów, których powstanie bez żadnej wątpliwości spowodowane zostało spadnięciem ogromnych meteorytów.

Najbardziej znanym i najdokładniej zbadanym jest wielki krater Canon Diablo w stanie Arizona, którego odkrycie w roku 1891 stanowiło prawdziwą sensację dla świata naukowego. Dokładne petrograficzne i geologiczne badania krateru i jego najbliższej okolicy doprowadziły do odnalezienia przeszło 4 tonn kosmicznego, niemal zupełnie czystego żelaza, z minimalną domieszką niklu i kobaltu.

Podobny wypadek zaobserwowano też w Australji: dnia 25 listopada 1930 olbrzymi meteoryt, w kształcie wspaniałej świecącej jaskrawo kuli, spadł w okolicy Henbury (Australja środkowa). Wyślana w tamte strony ekspedycja naukowa odkryła całą grupę, 13 mniejszych i większych kraterów, a całe pole dookoła usiane odłamkami meteorytów. Największy z tych kraterów posiadał wymiary 110:200 mtr., najmniejszy zaś średnicę 10 mtr.

Odkrycie to nastąpiło raczej przypadkowo i nie stało w żadnym związku z ową świecą kula, która spadła dnia 25 listopada, a której resztki zidentyfikowane przez ekspedycję, otrzymały nazwę meteorytów Karoonda. Ze stopnia bowiem zwiędnięcia tych okrucich, ja-

kie znaleziono w Henbury, wnioskować należy, iż krater ten powstał już przed tysiącami lat.

Wreszcie bardzo interesującego odkrycia dokonano ostatnio w Wabar, w pustyni Arabskiej, między Zatoką Perską i Adenem. Miejsce, w którym dokonano tego odkrycia, nosi oddawna u Arabów miano „Al Hadida“ (miasto żelaza). Zdaniem jednak uczonego angielskiego Philby'ego, który tam przeprowadzał badania, idzie tu o bajeczne miasto „Ubar“, które wedle starych kronik arabskich zostało ongi zniszczone „ogniem niebieskim“.

Że podanie to wiąże się z jakimś kataklizmem przyrody, świadczą o tem znalezione w tej okolicy odłamki czystego żelaza, co prawda już niezbyt liczne i zupełnie zwiędnięte.

Dalszym dowodem na to są liczne otwory kraterów (co prawda zasypywanych już piaskiem pustyni), na brzegach

których widoczny jest rodzaj naturalnego szkliva, powstałego przez stopienie się piasku pod działaniem niestychanego żaru.

Wedle obliczeń uczonych geologów i petrografów, w chwili spadania na ziemię meteoryt posiada temperaturę około 3500 st. C., — łatwo sobie zatem wyobrazić, jakie spustoszenie sieje on dookoła.

Wypadki tego rodzaju są na szczęście bardzo rzadkie. Z reguły rozpryskuje się meteoryt już w czasie swej drogi w atmosferze ziemskiej na setki drobnych odłamków, których całą masę znajdowano w rozmaitych punktach kuli ziemskiej, a które przechowywane są w muzeach przyrodniczych Wiednia, Paryża, N. Jorku i inn.

Fenomen spadania meteorytów znany był ludziom od najdawniejszych czasów. Już w Biblii znajdujemy o nich wzmiankę: Podczas walki Jozuego z

Aramejczykami koło Betoron „Pan rzucał na nieprzyjaciół wielkie kamienie, od których wielu poginęło“.

O „deszczu kamiennym“ wspominają też pisarze rzymscy, jak Titus Livius.

Skład chemiczny meteorytów nie różni się zasadniczo od składu chemicznego kuli ziemskiej: przeważa w nich żelazo, obok którego znajdowano w drobnych ilościach: nikiel, kobalt, krzem, aluminium, fosfor, siarkę, chlor, węgiel i inne.

Tak oto przedstawiają się nam ci niepożądani przybysze z zaświatów, którzy po przebyciu miliardów kilometrów w przestrzeniach międzyplanetarnych kofczą swą wędrówkę za witrynami muzeum lub w czeluściach skorupy ziemskiej.

Odwieczni wędrowcy po niezbadanych szlakach niebieskich, nieme świadki kataklizmów, jakie rozgrywały się w kosmosie przed tysiącami czy milionami lat..

(R.)

Romans biograficzny o Raleigh'u

Jednym z wynalazków naszych czasów, jest życiorys w lekkiej formie literackiej, czyli t. zw. romans biograficzny, rodzaj, powstały niewątpliwie ze skrzyżowania dwóch, dość od siebie oddległych czynników, nauki i beletrystyki. Stosunek między obiema rzadko układa się w prawowite małżeństwo, częściej przybiera cechy dzikiego związku, a na metryce potomka wyjątkowo tylko widnieją wyrazy torilegitimi. Fakta niezawsze odpowiadają celom artystycznym (lub — niestety coraz bardziej uwzględnianym — kalkulacjom rynkowym), więc autor puszcza wodze fantazji, która ponosi go i doprowadza nieraz do zupełnie nieoczekiwanej mety.

Jeżeli są żywoty, odpowiadające celom romansu biograficznego, to należy do nich napewno żywot Sir Waltera Raleigh, żołnierza, żeglarza, dworaka, polityka, poety i historyka; za jednego panowania ulubieńca — zapewne kochanka potężnej królowej, za drugiego więźnia, straconego ostatecznie jako zdrajca stanu.

Sama epoka i środowisko, które wydały Raleigh'a, tchną romantycznością. Jedno i drugie ujął Sir John Everett Millais w sławnym obrazie „Chłopięce lata Raleigh'a“. Tłem jest typowy nadbrzeżny krajobraz Devonu, tej ojczyzny elżbietańskich wilków morskich, kolonizatorów, odkrywców i korsarzy. Na twarzy niedorostka widnieje ekstaza. Z rozszerzonymi oczyma wsłuchuje on się w opowieść o bojach morskich, o oceanach, o lasach dziewiczych drugiej półkuli.

Rodzina Waltera, szlachetna, lecz niezbyt zamożna, mieszkała zdawien dawna w hrabstwie Devon — i uprawiała to, co dziś nazywałoby się rozbójem morskim, wówczas zaś było tylko jedną z form wojny (często bez jej wypowiedzania). Łupiła zbuntowanych Irlandczyków, a czasem wyprawiała się i dalej, przeciw Hiszpanom — wszystko w imię patriotyzmu (czy imperializmu) angielskiego i protestanckiej żarliwości. Niezawisłość do Hiszpanów i fanatyzm protestancki miały na całe życie pozostać Walterowi, który jednak zaznajomił się i ze służbą wojskową na lądzie, walcząc w szeregach francuskich hugenotów.

Zwróciwszy na siebie uwagę dworu, Walter przez jakiś czas wybijał się i można było przypuszczać, że dojdzie do najwyższych dostojnictw. „Dziewicza królowa“ napewno miała do niego sła-

bość, on zaś napewno sławił ją w poemacie, którego większa część zaginęła. Podobno gdy raz wysiadła z łodzi, podał jej pod nogi własny płaszcz, aby nie zabłociła trzewików. Wogóle z postacią Raleigh'a łączy się cały szereg podań. Mówią, że jeden z pierwszych przywioził do Anglii z drugiej półkuli tytoń i używał go podczas długich godzin, spędzanych nad książkami. Został go tak sługa, niosący posiłek, — zaczytanego i otoczonego kłębam dymu. „Owatu, memu panu zapaliła się głowa od tego ślepienia nad foljami!“ — zawołał i wyłał na Waltera cały dzban piwa.

Parokrotnie bowiem był Raleigh w Ameryce — pierwszy raz w r. 1599 wraz z bratem przyrodnim Sir Humphrey'em Gilbertem, jednym z najświetniejszych żeglarzy elżbietańskich. Celem ich było znalezienie odpowiedniego terenu na kolonizację, ale skończyło się na starciu z Hiszpanami. W r. 1584 rzeczywiście założono osadę w Wirginji, nazwanej tak na cześć „Dziewiczej królowej“. Za powrotem otrzymał Raleigh godność rycerza. Podczas walki z Hiszpanami organizował energicznie obronę i odznaczył się w walce z Armadą. — W r. 1593 zniszczył jednak, jak się zdawało, swą dalszą karierę przez tajne małżeństwo z jedną z dam dworu. Po padłszy w niełaskę, z pomocą przyjaciół uzbroidł raz jeszcze flotyllę i wybrał się do Gujany, ale owocem podróży był jedynie zajmujący opis tego kraju.

Królowa przebaczyła mu wreszcie i Raleigh wziął w stopniu admirała udział w wyprawie na Kadyks w r. 1596 i przeciw Azorom w następnym. Najślawniejszym może ustępem z pism jego jest opis bohaterskiej śmierci Sir Ryszarda Grenville'a w nierównej walce jednego okrętu, słynnej Zemsty, przeciw flocie hiszpańskiej.

Odgrywał tedy Raleigh za Elżbiety wybitną rolę, atoli pomiędzy protagonistów, kształtujących naprawdę historję, nigdy nie zdołał się dostać. Nie wszedł do Tajnej Rady i nigdy nie sprawował naczelnego dowództwa na lądzie, ani na morzu. Spencer, z którym był w zażyłych stosunkach, wprowadza go do swej alegorycznej epopei jako giermka Timjasa — dzielnego i zasłużonego, ale giermka.

Nie był też Sir Walter lubiany. Zardroszczono mu uśmiechów Elżbiety, sławy i zdolności, on zaś sam zrażał sobie ludzi okazywaniem wyższości i dumą. Jego usposobienie dobrze maluje się w

wierszu „Kłam“, w którym zadaje kłam, t. j. rzuca rękawicę wszystkiemu, co na świecie uważa za niskie i godne gogardy.

Ze śmiercią Elżbiety nastąpił tragiczny zwrot w losach Raleigh'a. Nieprzyjaciele oskarżyli go o spisek przeciw Jakóbowi I, proces poprowadzono z jaskrawą stronniczością i zapadł wyrok śmierci, którego na razie nie wykonano, aby pozostawić go zawieszony nad głową skazańca. Skonfiskowano mu majątek, a jego samego wtrącono do Tower, gdzie spędził lat dwanaście.

Na szczęście więzienie nie było zbyt ciężkie, miał przy sobie rodzinę, wychodził na platformę, zwaną do dziś dnia „miejszem przechadzki Raleigh'a“ i wsłuchiwał się stamtąd w okrzyki powracających do Londynu marynarzy, przyjmował gości, do których należał nawet królewicz, i miał pod ręką obfitość ukończonych książek. Wziął się teraz do pracy nad olbrzymią „Historją świata“ — i doprowadził ją do 130 r. prz. Chr. Napisał też szereg rozpraw politycznych i wojskowych.

Jakób I wiecznie potrzebował pieniędzy, Sir Walter obiecywał mu przez trzecie osoby, że w razie gdyby go postawiono na czele wyprawy do Ameryki, przywiezie mu góry złota. Słyszał przecież od Indian o grodzie Manoa, rzekomo bogatszym jeszcze, niż Meksyk i Peru. Zresztą poddostatkiem złota mają Hiszpanie — Sir Walter nienawidził ich z całej duszy.

Króć Jakób nie chciał wojny z Hiszpanją — pragnął przecież ożenić syna z infantką. Lecz za więzie bogactw był czuły, a uroczyście dworskie, bankiety, ulubiony teatr i widowiska mitologiczne dużo kosztowały. Miał też pierwszy ze Stuartów na tronie angielskim hojną rękę dla swych ulubieńców, dla Somerseta, potem dla Buckingham. — Trudno było wszystko pokryć sprzedażą nowoutworzonej godności baroneta i podwojeniem grzywien, płaconych przez katolików... Stary lew odzyskał wolność i stanął na czele flotylli, ale miał jedynie szukać złota i przywieźć go dużo, dużo, jak najwięcej. Zapowiedziano mu przytem, że za starcie z Hiszpanami zapłaci głową.

Zapadły się okręty Sir Waltera w nurty Orinoko. On sam leży chory w kajucie u ujścia rzeki. Nadchodzą wieści bolesne i straszne: Hiszpanie pierwsi uderzyli na niepożądanych gości i w walce zginął najstarszy syn Raleigh'a... Zapłaci im ojciec mordem, po-

żoga, spustoszeniem i wróci do ojczyzny — bez syna, bez złota, ze świadomością, że czeka go śmierć z ręki kata. Nowego sądu i wyroku nie trzeba, jest przecie dawny z przed lat kilkunastu.

Nieprzebrane tłumy ludu tłoczą się około Tower Hill, gdzie umierają zdrajcy stanu. Wiodą wysokiego starca o krzepkiej, marsowatej postawie. Dumnym i wzgardliwym wzrokiem mierzy gapiów, urzędników i katów. Spokojnie składa swą głowę na pniu, spada topór. Stało się zadość — sprawiedliwości, a może rozczarowaniu króla Jakóba... Było to 29 października r. 1618.

Czyż nie wspaniały materiał do romansu biograficznego? Czy trzeba go uzupełniać zmyśleniami? Czy niedość mieć dar opowiadania i trzymać się faktów? Czy wtedy książka nie zachwyci każdego czytelnika?

Takby mogło się zdawać. A przecie „Raleigh“ (Irvina Anthony) (Londyn, Scribner, 1934) mimo, że autor niewątpliwie posiada dar opowiadania, roi się od fantastycznych dodatków. Nie znaczy to, aby autor zmienił coś zasadniczego w dziejach bohatera. Nie umiał jednak oprzeć się pokusie ich upiększenia.

Czy Raleigh miał stosunek miłosny z Elżbietą, czy nie, trudno osądzić. Mr. Anthony jest tego pewny i nawet dorabia rodzaj nastrojowego wstępu: Przecie Raleigh mieszkał w Islington, znanem ze schadzek, cichych altanek i niemoralności... Bez żadnego faktycznego uzasadnienia czyni go autor bohaterem drugiego romansu, również ze sławną niewiastą, bo z hrabiną Pembroke, siostrą Sir Filipa Sidney'a, a matką przyjaciela Szekspira. Cóż, elżbietańska arystokracja od trzystu lat śpi w grobowcach,

nikt o ciebie tej damy nie wyzwie na udeptaną ziemię. To znów nazywa Anthony lorda Carew zbyt ostrożnym i chwiejnym pomocnikiem sławnego kuzyna. Tymczasem Carew był jedynym człowiekiem, który w Tajnej Radzie śmiało i po męsku wystąpił w obronie Raleigh'a.

Ale dość tych przykładów — jeszcze tylko jeden, bo mi żal nie wspomnieć o królowie czy księżniczce indyjskiej Pokahontas — tej, co pokochała angielskiego kapitana, poślubiła go i popłynęła z nim do jego odległej ojczyzny, aby ujrzeć splendor dworu Jakóba I i po paru miesiącach paść ofiarą klimatu. Mr. Anthony wyśnił sobie scenę spotkania między nią, a Sir Walterem, który traktuje ją jak damę z niebieską normandzką krwią w żyłach, przykleka i całuje Indiankę w rękę. „Światłem zadowolenia

zapłonęły oczy Pokahontas::: Ten człowiek był panem kapitana Johna Smitha, którego kochała. Rumieniec dumy ubarwił jej lica“.

Otóż Sir Walter Raleigh — w r. 1616, kiedy kapitan Smith przybył z żoną do Anglii, właśnie wypuszczony z więzienia — nie mógł sobie rościć pretensyj do nazwy jego pana. Smith w r. 1598 wyruszył do Ameryki, a w tym czasie kolonia, założona w r. 1584 w Wirginii, padła już była ofiarą Indian i Hiszpanów. Ale przedewszystkiem niema nic, coby wskazywało na jakiegokolwiek stosunki między tymi ludźmi.

Książkę Anthony'ego czyta się przyjemnie, i treść historyczna jest zajmująca, i autor umie ją podać. Ale to riletym na metryce napisać niepodobna. Ojcostwo historii zbyt wątpliwe.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI.

Cieźkowice - „skamieniałe miasto“

Wśród łupków i łtów Małopolski występuje niezwykle ciekawy i malowniczy utwór, który po raz pierwszy przedstawił prof. Emil Habdank Dunikowski w r. 1881, nadając mu nazwę „piaskowca cieźkowickiego“. Ta petrograficzna formacja, odrębna wybitnie od otoczenia, łączy się z niepospolitym urokiem krajobrazowym, jaki napotykamy w środkowej części doliny Białej dunajcowej w pobliżu miasteczka Cieźkowice na linii kolejowej Tarnów — Krynica.

Miasteczko to, zupełnie przeciętne, liczące w r. 1931 — 2.078 mieszkańców, a tylko w sezonie letnim zamieszkałe dość gęsto przez letników, ma wcale piękną przeszłość historyczną. K. Potkański przypuszcza, że już w w. XI. wznosiła się nad Białą — obok Tarnowa i Tuchowa — osada Cieźkowice (Pisma poświęcone, str. 304).

O założeniu osady szczegóły się nie przechowały. Wiadomo, że w połowie XIII wieku jest ona własnością Wydźgi, kasztelana sądeckiego, który ją rychło sprzedaje. W roku 1348 w wigilię św. Andrzeja (patrona miasta) 28 listopada nastąpiło „locatio civitatis Cieszkowice iure Theutonico per sussimum Casimirum Regem Viris discretis Minardo et Nicolao, fratribus uterinis, civibus de Sandecz antiqua“.

Wśród szeregu przywilejów dla miasta zwraca uwagę przywilej Zygmunta Augusta z r. 1556 „de non conservacione Iudaeorum“. Zamek cieźkowicki (w miejscu gdzie dziś staw na plebanji), czyli dwór starościński, był wraz z wsiami sąsiednimi kolejno własnością licznych rodów, m. in. Laskowskich, Stadnickich, Brześcińskich, Trzecieckich, Bobrowskich.

W stuleciach XV i XVI słynęły Cieźkowice tkactwem i rozległym handlem z Węgrami. Z późniejszych szczegółów historycznych zanotować warto dwa fakty: wielki pożar miasta w r. 1830 i odmowa chłopów cieźkowickich namowom przystąpienia do rabacji.

Historia kościoła w Cieźkowicach jest także bogata. O pierwszym brak wiadomości, drugi drewniany ustawiono za Kazimierza Wielkiego w r. 1336, spalił się on od świecy w r. 1830. Niedolężna restauracja sprawiła, że wieża zawaliła się w r. 1893, niedługo po rezurekcji niszcząc cały kościół. Obecna świątynia w stylu nadwiślańskim wykończył w r. 1903 prof. Jan Sas-Zubrzycki. — W kościele jest cudowny obraz Pana Jezusa Łaskawego, który otrzymali dwaj księża pielgrzymi od papieża Innocentego XI.

Historia nie pozostawia jednak wybitniejszych śladów w dzisiejszym wy-

glądzie Cieźkowic, prócz może charakterystycznego budownictwa podcieniowego i nie starożytnością pociąga to miejsce. Urok jego tkwi w cudzie tejżej natury.

Po obu stronach przełomu Białej w Pławnie rozciągają się przepiękne wzgórza, ubrane rumowiskami skał piaskowcowych. Skupienie największe i najefektowniejsze stanowią Cieźkowice. Do skał tych przywiązany jest świat najczarowniejszych legend, które wzbogacił straszliwy dech wielkiej wojny, która na tych ziemiach aż po Gorlice pozostawia niezapomniane pamiątki — tysiące krzyżów.

Legenda, daleko słynąca, mówi o pradawnych Cieźkowicach, które Bóg zaklął za wiarołomstwo ich pana w kamień. I oto całe ogromne miasto w ka-

mieniu. I oglądamy: skalne wieżycy, baszty, kościoły, trony, nawet ludzi, przadki, czarownice. Wiele w nich podobieństwa do Prądek krośnieńskich, tylko że cieźkowickie skały są wielokroć potężniejsze. Rozsiane są po grzbiecach gór i dolinach, piętrząc się na wysokości kilkudziesięciu metrów.

Najwspanialsze jest zbiorowisko skalne przy wodospadzie — czarowna studnia śródskalna, mroczna, usłana pierwotną roślinnością i dywanem mchów, dalej królująca nad horyzontem skała z krzyżem, wreszcie Borcuch; Grunwaldzka skała i Czarownica. Leżą one pośród najmilszych lasów i wzgórz, opadających ku Białej, która podmywa bloki skalne.

Skały cieźkowickie utworzone są z piaskowca związłego, grubopłytkowego,

spękanego i wietrzącego, pochodzącego, wedle Friedberga, z okresu digoceńskiego. Zasięg jego jest bardzo daleki od Biecza do doliny Dunajca i od Stróż aż po Gromnik (kamieniołom).

Skałki cieźkowickie, rzadki i niezwykle zabytek krajobrazowy, były i są ustawicznie narażone na niszczenie, zwłaszcza ze strony przedsiębiorców kamieniołomów, którzy i tak zeszpecili ogromnie pierwotny czar skałek. Na tej podstawie Urząd Wojewódzki Krakowski na wniosek Państw. Rady Ochrony Przyrody jeszcze z końcem r. 1931 uznał cieźkowickie skały za rezerwat ochrony przyrody.

Cieźkowice zasługują na poważne zajęcie się nimi, na zbudowanie tu dużych pensjonatów i doprowadzenie ich rozpaczliwego i zżydźiałego wyglądu do poziomu choćby trochę europejskiego.

JAN BIELATOWICZ (Kraków).

„Kryzysowe“ środki spożywcze w dawnych czasach

Gnębący świat od dłuższego czasu kryzys czyni aktualnym poniekąd pytanie, jak radzono sobie w podobnych sytuacjach dawniej. Nasz kryzys ma zresztą osobliwy charakter. Jest to bowiem podobno, jak twierdzą ekonomiści, kryzys „przez nadmiar“.

Przyczyną natomiast licznych okresów głodu w wiekach ubiegłych były nieurodzaje, wywołane bądź przez klęskę elementarną, bądź przez wojny. Historia zanotowała takich głodowych okresów wiele. Bardzo częste były one w średniowieczu. W samych np. Niemczech na przestrzeni sześciuset lat naliczono ich około 300. Coraz rzadsze w czasach nowożytnych, ustały w Europie zach. w XIX. w. zupełnie. Pozostały jednak na wschodzie i w Azji.

Głównym ratunkiem przed śmiercią głodową było zbieranie dla celów pokarmowych roślin dziko rosnących. Ponieważ przed rozwinięciem się rolnictwa zbieractwo takie stanowiło główną podstawę żywienia człowieka, przeto okresy głodu były zarazem okresami periodycznego nawrotu do tej, najstarszej formy gospodarki ludzkiej.

Użytkowanie roślin dzikich miało rozmaity charakter. Części zielone: liście, młode gałązki, były używane bądź na „barszcz“, bądź na „szpinak“. W Polsce przyrządzano taki „kryzysowy“ barszcz z liści szczawiu, młodych ostów, pokrzyw, lebiody gorczycy, macierzanki, a nawet leszczyny. Dodawano maki i dla smaku mleka. U górali głównymi składnikami były liście kminu dzikiej cykorii i pokrzywy. Podobny skład „florystyczny“ miały też „szpinaki“. Uzupełniały go liście buraków, koniczyzna, łupy ziemniaczane, kaczany kukurudzy, sieczka zmieszana z grysem, a nawet liście drzew.

Często jadano pędy skrzypów. Według Moszeńskiego („Kultura ludowa Słowian“) na Wielkorusi „jeszcze dziś całe rodziny włoczańskie karmią się na wiosnę owocującymi pedami skrzypu. Napelniają kosze i jedzą na surowo“. Wielkorusi mają spożywać też pędy i kwiaty sosen, oraz pieczone młode szyszki świerków. Ten ostatni rys ma także występować u naszych górali.

W Polsce jadano także bałki leszczyny, czego echem ma być zwyczaj polykania bazi na Wielkanoc. Korzystano również z jagód i grzybów, oraz całego szeregu roślin innych, między innymi z lilij wodnych, czyli grzybien. Za pokarm służyły tu łodygi kwiatowe i młode torebki nasienne. Szczegół ten użytkował — jak wiadomo — Słowacki w „Lilli Wenedzie“.

Różnorodny, a nieraz b. osobliwy skład miały chleby i placki sporządzane w krytycznych latach. Mąka zbożowa była tu tylko dodatkiem. W Szwecji sporządzano placki takie z maki otrzymanej przez zmielenie wewnętrznej warstwy kory sosnowej (ew. lipy, lub buka), posładu, słomy (wziętej czasem nawet z łózek), kości, nasion szczawiu (Rumex Acetosella), a nawet w najgorszym razie suchego nawozu bydlęcego. Składniki te w rozmaity sposób kombinowano i uzupełniano w miarę możliwości mąką żytnią.

Na północy np. w Islandji otrzymywano mąkę prawie wyłącznie z porostów. Główną rolę odgrywały tu: płucnica islandzka (Cetraria islandica) i chrobotek reniferowy (Cladonia rangiferina). Niekiedy w skład takich placków wchodziły substancje mineralne, mianowicie glina. Zastępował badacz polski dziejów żywienia roślinnego A. Maurizio, z którego książek*) większość przytoczono.

*) A. Maurizio „Żywienie roślinne i rolnictwo w dziejowym rozwoju 1926.

nych tu danych czerpiemy, znalazł w jednym z „głodnych“ chlebów rosyjskich aż 60 proc. gliny. „Menu“ godne chyba strusi!

W Polsce, o ile z dotychczasowych wiadomości wnosić można do takich skrajności, przynajmniej w nowszych czasach, nie dochodziło. Najczęstszą domieszką do maki żytniej przy wypieku były otręby, oraz mąka z kłacz perzu, pospolitego chwastu polnego. Nie kiedy sporządzano mąkę z ususzonych główek koniczyzny, lub z żołądzi. W krajach pd-europejskich głównym surogatem maki zbożowej jest mąka z kasztanów (prawdziwych, nie naszych).

Użytkowanie dzikich roślin w latach niedostatku stosowane dawniej przez ludność na własną rękę ujęły w swoje ręce w czasie wojny światowej rządy państw centralnych, niezmordowane w wyszukiwaniu coraz to nowych „ersatzów“ Zaczęto więc propagować lebiode, pokrzywę i buraka, zalecano zbierać kłacz trzciny i palki i całą moc rozmaitych części roślin innych. Liście wierzbówki np. miały zastępować herbate, nasiona żarnowca miały być namiastką kawy, lub fasoł itd. Wagonami wywożono Kasztany (rzekomo na paszę, a wistocie na mąkę do chleba), z buraki fabrykowano marmeladę i przyrządzano jarzyny, polecono zbierać nawet pestki wiśien i czereśni dla wytłaczania z nich oleju. W całej tej akcji więcej było jednak sztuczności i papierowości niż zmysłu praktycznego to też wyniki były dość nikłe.

Prócz roślin służyły na pokarm w latach głodu niektóre zwierzęta, normalnie do tego celu nieużywane. Tak np. w tarnopolskiem jadano ślwie błotne. We Francji uciekano się niekiedy do krwi bydła. W szczególnie ostrych okresach głodu zachodziły w Europie wypadki ludożerstwa. M. K.

Wielka rodzina bohaterów

Mowa tu nie o Scypionach rzymskich, ani o starszych Karolingach (Karolu Młocie, Pepinie Małym i Karolu Wielkim), ani o mitycznych indyjskich Padungach i Kuringach, bohaterach „Mahabbaharaty”, ani o Ramzesach egipskich.

Mowa o tych, którzy, choć istnieć prawdopodobnie w wyobraźni ludzkiej tylko, — urosli w opinii tysiącleci do granic najwyższego bohaterstwa, a imiona ich nie tylko każdemu z nas są drogie i bliskie, ale dla nas wszystkich każde z nich niemal jest symbolem jakiegoś rodzaju wielkości, cnoty czy heroizmu. Mowa tu o bohaterach mitologii antycznej: o Heraklesie i Tezeuszu, Kadmosie i Edypie, Achillesie i Odyseuszu, Diomedzie i Nestorze i o wielu, wielu innych, których imiona w sumie dają pokątną cyfrę kilkuset, a którzy, — choć rozproszeni według utartego mniemania w różnych epokach mitologicznych, w rzeczywistości stanowią jedną wielką rodzinę bohaterów — rodzinę największą, najświetniejszą ze wszystkich, jakie kiedykolwiek istniały w tradycjach dziejów rodzaju ludzkiego.

Nasza znajomość mitologii ma z reguły na ogół charakter nieusystematyzowany: wiemy o niektórych lokalnych cyklach podaniowych (np. cykl tebański — z Dionizosem i bachantkami, Kadmusem, Edypem i wyprawą siedmou; cykl argejski — z Perseuszem i Andromedą; kreteński — z Minosem i Minotaurom i inne), o paru największych indywiduach bohaterskich: Heraklesie, Tezeuszu, Achillesie, Odyseuszu, — o wyczynach zbiorowych wreszcie, jak Łowy Kalidońskie, Wyprawa argonautów po złote runo i największa z wielkich akcyj zbiorowych: wojna trojańska.

Wszystkie te epizody w opinii przeciętnego kulturalnego czytelnika, a nawet miłośnika mitologii greckiej, mają jakiś oderwany lub urywający się charakter. Wynurają się z nicości, by w nicość się zapaść, — po scenie zaś, na której rozgrywa się akcja tych różnych eposów, czy dramatów, czy nieraz sielank mitologicznych, — uwiązają się i snują postaci, zjawiające się niewiadomo skąd, płaczące się, zaskakujące jedną na drugą, pojawiające się po kilka razy bez żadnego — zdawałoby się — logicznego czy chronologicznego (mowa o chronologii względnej, porównawczej, — bo bezwzględna, datowa w mitologii nie istnieje) związku między sobą, — jednym słowem, panuje chaos. I taki sam chaos panuje w głowie miłośnika mitologii.

Aż nagle zjawia się przed paru laty — i to w języku polskim napisana i wydana — książka, stanowiąca istną rewelację w tej dziedzinie. Książka o olbrzymiej wartości literackiej, książka pochłaniająca i porywająca, a której treścią jest nie tylko przepiękne odtworzenie całej mitologii antycznej, ale przede wszystkim mitologii tej ujednolicenie i usystematyzowanie.

Mowa tu o książce „Świat antyczny. Starożytność bajeczna” Tadeusza Zielińskiego, wielkiego polskiego uczonego jednego z największych hellenistów XX. wieku.

Walory literackie, naukowe i pedagogiczne tej książki doczekały się niejednej chyba recenzji, przez ściśle fachowe pióro napisanej, — toteż piszący te słowa pragnie zwrócić uwagę na jeden tylko fakt, związany z dziełem Zielińskiego — fakt, mający zdecy-

wanie doniosłe znaczenie dla wszystkich miłośników mitologii antycznej.

Oto całą mitologię grecką Tadeusz Zieliński ujednolicił, czyniąc to w ten sposób, że w dziele jego wszystkie podania greckie mają pomiędzy sobą ścisłą łączność personalną, fabularno-treściową, logiczną, a przede wszystkim mistyczną-ideową, nacechowaną elementem mesjanistycznym. Oto gdy w cyklu tebańskim naszyjnik Harmonii staje się przyczyną i źródłem wszystkich klęsk i tragedii i przenosi nawet swój wpływ złośliwy poza granice lokalne cyklu tebańskiego, — całą starożytność bajeczną owiewa nastrój oczekiwania na zbawiciela i odkupiciela, pół człowieka pół boga, jakim jest Herakles. Ten pierwiastek mistyczny przechodzi później i na główne osoby historii trojańskiej: Helenę i Achillesa.

Ale prócz tej łączności ideowo-mistycznej, istnieje, — jak już się powiedziało — łączność personalna, rodzinna. Oto uważny i dobrze orientujący się w mitologii czytelnik książki Zielińskiego z wielkim zdumieniem spostrzeże, że wszyscy (dosłownie wszyscy, z małymi nie prawie nieznaczącymi wyjątkami) bohaterowie połączeni są związkami krwi i powinowactwa poprzez małżeństwo w jedną olbrzymią rodzinę, — której żadna inna nie dorówna świetnością.

Gdyby się na podstawie książki Zielińskiego zrobiło tablice genealogiczne bohaterów poszczególnych cykli na wzór istniejących podobnych tablic, do-

tyczących rodów królewskich francuskich, angielskich, niemieckich, polskich itd., — okazałoby się, że wszystkie te cykle są ze sobą ściśle związane przez częste zawieranie małżeństw między przedstawicielami poszczególnych cykli. O ile zaś te genealogie zestawimy przy pomocy chronologii względnej, porównawczej, tzn. szeregując pokolenie bohaterów wojny trojańskiej, jako najliczniejsze i nie nasuwające żadnych wątpliwości co do rzeczywistego współdziałania bohaterów tej wojny w jednym pokoleniu, — będziemy mieli systematyczny, dokładny i dla orientacji bardzo dogodny obraz jednej wielkiej rodziny, jaką stanowią wszyscy bohaterowie mitologii antycznej.

Wtedy też dowiemy się wielu ciekawych i często zupełnie nieoczekiwanych rzeczy. Tak np. okaże się, że Diomedes znakomity bohater V-tej pieśni Iliady, znajduje się w bliskich stosunkach rodzinnych z Heraklesem, którego żona Dejanira była siostrą Tydeja, ojca Diomedowego. Przez Tydeja również idzie od Diomedesa linia pokrewieństwa do Jazona, zdobywcy złotego runa, do Nestora, a przede wszystkim do dobrze znanej sofoklesowej Antygony, której brat Polinik był mężem jednej z córek króla Adrasta, którego druga córka była matką Diomedesa.

Na przykładzie Diomedesa widzimy, jak silnie łączą różne węzły krwi różnych bohaterów mitycznych, a przykład to nie tylko nieodosobniony, ale

niebardzo charakterystyczny jeszcze. Ciekawszą jest rzeczą fakt, że matka Tezeusza była stryjeczną siostrą Agamemnona, że Penelopa — stryjeczną siostrą Pięknej Heleny, a kreteński Minos poprzez matkę Europę w ścisłym znajdzie się pokrewieństwie z tebańskimi potomkami Kadmusa, a więc i z nieszczęśliwym Edypem.

Przykładów takich można mnożyć bez liku, a wszystkie one wyraźnie podkreślają charakter mitologii greckiej, jako historii wielkiej, potężnej rodziny. Rozumie się, zdarzają się czasem nielogiczności: wino to jednak ani Zielińskiego, ani nieczyja, tylko wyobraźni starohelleńskiej, która mity te stworzyła, — wyobraźni, nie liczącej się z wymaganiami logiki i chronologii porównawczej.

Oto wiemy, że stryjeczna siostra Agamemnona i Menelaosa była matką Tezeusza: tymczasem Tezeusz jest współczesny ojcu tych dwu bohaterów Atreuszowi, i ojcu swej matki — Pitusowi!... Takich nielogiczności jest więcej, choćby znowu z Tezeuszem. Żoną jego była Fedra, córka Minosa. Otóż Minos jest synem Europy, siostry Kadmusa, którego praprawnikiem jest Polinik, współczesny Tereuszowi, z czego wynika, że Fedra mogłaby być praprababką swego męża!

Takich nielogiczności jest więcej, ale stanowią one, wzięte wszystkie razem, zupełnie znikomą ilość w porównaniu z doskonale logicznie skonstruowanym systemem pokrewieństw i powinowactw tworzących ze wszystkich bohaterów mitologii klasycznej jedną wielką rodzinę t. p.

Cukier z drzewa

Olbrzymi rozwój nauk chemicznych kładzie w dzisiejszych czasach zupełnie nowe, odrębne piętno na całym życiu przemysłowym i ekonomicznym. Wystarczy przytoczyć przemysł barwików anilinowych, czy zapachów syntetycznych, czy wreszcie gazów bojowych, — by zdać sobie sprawę z przeróżnych możliwości, jakie chemia dzisiejsza stworzyła.

Jednym z takich zagadnień, nad rozwiązaniem którego pracowali uczeni od stulecia już, — to kwestia uzyskiwania cukru z drzewa.

Jak wiadomo, w drzewach zarówno liściastych jak i szpilkowych głównym składnikiem jest celuloza, której zawartość wynosi 50—60%. Całe zagadnienie streszczało się więc w tem, by zapomocą odpowiednich procesów chemicznych spowodować rozkład tej celulozy i uzyskać z niej t. zw. glukozę czyli cukier gronowy.

Cukier gronowy stanowi ważny produkt przemysłowy, chętnie i w dużej mierze stosowany w przemyśle cukierniczym, i posiada wysoką wartość odżywczą.

Pierwsze próby w tym kierunku podjął w roku 1819 chemik francuski, Bracannot, który uzyskał z drzewa cukier gronowy przez rozkład celulozy zapomocą stężonego kwasu siarkowego. Próby te miały jednak znaczenie raczej teoretyczne, naukowe. Sama procedura uzyskiwania cukru była zbyt kosztowna, by mogła znaleźć praktyczne zastosowanie w przemyśle, a produkt uzyskany był zanieczyszczony.

Badania te podjęto ponownie z początkiem dwustego wieku. Impuls dali uczeni niemieccy, pragnący w latach wielkiej wojny i blokady gospodarczej

Niemiec znaleźć tani a pożywczy surogat czy namiastkę cukru z buraków.

Dopiero jednak w roku 1927 w wielkich zakładach szwajcarskiej Spółki akcyjnej „La Cellulose” w Genewie przystąpiono do racjonalnej produkcji cukru drzewnego na większą skalę.

Stosuje się tu metodę Berginsa, jako najlepiej opłacalną i pozwalającą na całkowite wyzyskanie odpadków z przeróbki, co stanowi zawsze ideał każdego przemysłu.

Metoda ta polega na działaniu 40 procentowego kwasu solnego, któremu poddaje się drewno odpadkowe pośledniej jakości, dokładnie zmielone na trociny.

W ten sposób otrzymujemy surowy cukier drzewny, oraz jako produkty uboczne kwas octowy i ligninę (drzewnik). Ten ostatni składnik, sprasowany w brykiety, jest wysokowartościowym materiałem opałowym.

Uzyskany cukier drzewny, silnie jeszcze rozcieńczony, kondensuje się przez odparowanie, a następnie wpuszcza się do specjalnych wirówek, gdzie następuje oddzielenie syropu cukrowego od oleju. Wreszcie następuje usunięcie z niego resztek kwasu solnego zapomocą specjalnych zabiegów, stanowiących tajemnicę owej fabryki.

Otrzymany tą drogą produkt zawiera 70% cukru gronowego (glukozy), 7—10% innych cukrów przyswajalnych przez organizm, 13—15% wody, oraz 7—10% popiołu i części organicznych.

Jak wykazały obliczenia, ze stu kg. drewna otrzymuje się 63 kg. czystej glukozy, 3 kg. innych cukrów, 4 kg. kwasu octowego i 30 kg. ligniny.

Cukier drzewny nie stanowi poważniejszej konkurencji dla cukru z buraków, gdyż jest od niego znacznie mniej słodki, a koszty jego produkcji są sto-

sunkowo jeszcze bardzo wysokie. Natomiast znajduje on szerokie zastosowanie jako wysokowartościowa pasza dla bydła, co też obserwujemy już w krajach o typie raczej przemysłowym niż rolniczym, przede wszystkim w Niemczech.

Kraje, obfitujące w tani materiał drzewny, a nie prowadzące hodowli buraków cukrowych, przystąpiły do fabrykacji cukru drzewnego na większą skalę. Dotyczy to zwłaszcza Szwajcarii i państw skandynawskich, gdzie przemysł wytwarzania cukru drzewnego rozwinął się już bardzo silnie, walcząc skutecznie z cukrem importowanym z zagranicy. (kr.)

Jak wykorzystać wolny czas

Każda kobieta pragnie być piękną. Zdrowe ciało, świeża twarz są zawsze ładne. Aby je posiadać, oprócz troskliwego przestrzegania godzin snu i posiłku, należy umieć wykorzystywać wolny czas. Planowość pracy zapobiega bezpotrzebnemu zużyciu energii i zostawia nam zawsze chwilę wolnego czasu, który możemy przeznaczyć na odpoczynek. Nie myślę jednak o tej programowej chwili wytchnienia — ileż to bowiem marnujemy czasu w ciągu dnia, czekając naprzykład na kogoś ze znajomych. Czy zamiast, usiadłszy na brzeжку krzeselka, nerwowo przewracając kartki ilustracji... których wcale nie oglądamy, nie byłoby bardziej pożytecznym, wyzyskać tę chwilę na odpoczynek dla nerwów? Należy poprostu „uprząwić spokój”. Jeśli jesteśmy w pokoju same, pozwólmy opaść miękko naszymi rękami, wyciągnijmy nogi opierając je wysoko, np. o stół, przymknijmy oczy. Minuta takiego bezwładu, o ile postaramy się również i o to, aby nasza myśl przestała pracować, wyda się nam bardzo długa, i bezwątpienia będzie dla nas bardzo pożyteczna.

Kartuzi i ich klasztory

Sprawa restytucji słynnego klasztoru w Grande Chartreuse ich prawowitym właścicielom, tj. zakonnikom reguły św. Brunona, zwanym Kartuzami, stała się niedawno głośna, a to wskutek listu otwartego, jaki wystosował deputowany francuski Chastenot do Prezydenta Republiki.

Właśnie w roku bieżącym upływa 850 lat od chwili, gdy św. Bruno, podówczas kanclerz arcybiskupa w Reims, chroniąc się przed prześladowaniem, złością i zawiścią ludzką, przeniósł się wraz z sześcioma towarzyszami w zaciszną okolicę Guiers - Mort, u podnóża Alp francuskich.

Tam to, wśród gęstych lasów, w miejscowości zwanej Chartreuse, zbudował małą pustelnię, wiodąc w niej żywot świątobliwy. W krótkim przeciągu czasu okazała się potrzeba specjalnej reguły klasztornej, wzorowanej w zasadzie na najpowszechniejszej podówczas regule Benedyktynów, a uzupełnionej ostrą regułą Kamedułów.

Zakonnik, za którym raz zamknęły się podwoje klasztoru Kartuzów, — umiera dla świata. Żyje odtąd w zupełnym odosobnieniu, obcując jedynie z Bogiem i przygotowując się do życia wiecznego.

Otrzymuje maleńki domek, złożony z czterech ubikacji oraz kawałek ogrodu, który musi sam uprawiać. Pieczęć wiecznego milczenia zamyka mu usta aż do zgonu. A gdy zamknie oczy na sen wieczny bezimienne jego zwłoki spoczną na klasztornym cmentarzyku — i tylko prosty drewniany krzyż bez żadnego napisu zdobi świeżą mogiłę.

Zbudowana przez św. Brunona w roku 1084 pustelnia uległa wkrótce już, bo w roku 1132 zburzeniu, skutkiem oberwania się skały.

Na jej miejscu stanęły wkrótce liczne nowe zabudowania, w których świątobliwi zakonnicy wiedli cichy a pracowity żywot, stając się błogosławieństwem dla całej okolicy.

Okres francuskiej rewolucji przerwał ich działalność. Nie na długo jednak: już w roku 1816 wrócili Kartuzi do swej siedziby, skąd rząd francuski wygnał ich w roku 1903, — przejmując zabudowania „Grande Chartreuse“ pod zarząd państwowy jak „monument historique“, zwiedzany chętnie przez rzesze turystów.

Koszty utrzymania i restauracji licznych tych budynków zbyt są wielkie, by można je pokryć z opłat uiszczanych przez turystów. Toteż cały kompleks zabudowań „Grande Chartreuse“ przedstawia dziś smutny obraz kompletnej ruiny i opuszczenia.

W dziesięć lat po założeniu „Grande Chartreuse“ udaje się św. Bruno do Kalabrii. Tam, w dolinie Ancinale, w pobliżu dzisiejszego miasteczka Serra San Bruno, zakłada drugi klasztor Kartuzów zwany San Stefano del Bosco, — i w klasztorze tym przebywa aż do śmierci swej, do roku 1101.

Klasztor ten wraz z kościołem uległ zniszczeniu w roku 1783 skutkiem trzęsienia ziemi, został jednak z końcem XIX. wieku częściowo odbudowany.

Z innych, licznych klasztorów Kartuzów we Włoszech wymienić należy przede wszystkim słynną w całym świecie Certosa di Pavia, założoną w roku 1396 sumptem i staraniem księcia Giovanni Galeazzo Visconti i żony tegoż, Katarzyny.

Fasada kościoła klasztornego, z bia-

łego marmuru kararyjskiego, jest najpiękniejszym okazem wczesnego renesansu włoskiego z XV. wieku w północnych Włoszech.

Certosa di Pavia przechodziła rozmaite koleje losu. I rząd włoski również przez szereg lat traktował cały klasztor wraz z kościołem jako zabytki sztuki włoskiej, pozostające pod opieką państwa. Ostatnio jednak Kartuzi wrócili do tej swojej dawnej siedziby.

W dolinie rzeki Pessio na południe od Cuneo, leży Certosa di Pesio, której

data założenia sięga roku 1173. Urocząta miejscowość, wśród wspaniałej górskiej, lesistej okolicy stała się oddawna znanym zakładem wodołecznym i stacją klimatyczną.

W przepięknej też okolicy, w pobliżu Florencji, znajduje się Certosa di Val d'Ema, założona w roku 1341, a znajdująca się dotychczas w posiadaniu zakonników. Założycielem tejże był bogaty florentyńczyk, Mikołaj Acciajoli, którego grobowiec mieści się w podziemiach kościoła.

Płonie ognisko...

Zleciały młode orlecia, z najdalszych granic Rzplitej, by tu na odwiecznie polskiej ziemi kresowej, pełną piersią zaczerpnąć górskiego powietrza, zaprawiać się w trudach obozowej pracy, zaznać znoju i hart w sobie wyrobić.

Orłom najlepiej w górach! To też orlecia nasze — dzielne harcerzyki, prócz wzniosłych i szczytnych celów, jakie im nakazuje prawo harcerskie, najlepiej lubią odwiedzać w czasie wakacji góry. Nie dziw więc, że wzdłuż całej doliny Prutu, po przez Gorgany Wschodnie, Beskid huculski, Czarnohorę, gęsto zaroiły się wysokie meszty, na które przy dźwiękach rannej pobudki, wznosi się dumnie sztandar biało-czerwony.

Dookoła masztów, białymi plamami rozsiadły się namioty — maleńkie państewka, pełne życia, humoru i mrówczej pracy. Harcerki i harcerze mile są widziani przez ludność tubylczą, huculów. Bo to dobre i mądre są te — odziane w szare sukienki, dziewczęta i panny — i ci w zielonych mundurach chłopcy i młodzieńcy. Niejeden raz w pracy pomagają, zaopiekują się gospodarstwem i dziećmi, poradzą dobrze człowiekowi, a zawsze są weseli, pełni humoru i śmiechu.

Wiadomo — prawo harcerskie, nakazuje harcerzowi spełniać dziennie, choć jeden dobry uczynek, a że teraz moda rekordów, więc brać harcerska, wykorzystuje ją w odniesieniu do tego prawa. Dobre uczynki, sypią się jak z rogu obfitości. A gdzież lepsza okazja, jak nie w udzieleniu pomocy hucułom?

Stąd też obopólne zadowolenie, zgoda i przywiązanie ludności huculskiej do harcerzy.

Na tle niebotycznych gór, w polskich Karpatach Wsch., w chwili, gdy wieczór granatami sklepienie niebieskie maluje, zapłonęło na polanie, pośród namiotów, ognisko.

Płonie ognisko... dookoła siedzą ginaące w mrokach wieczoru postacie, dziwnie i niesamowicie zmienione odbłaskiem ognia... W dal płynie pieśń:

„Płonie ognisko w lesie
wiatr smętną piosnkę niesie,
w około zaś drużyna,
gawędę rozpoczyna,
Czuj, czuj, czuwaj...”

Zwabiony słowami piosenki, zbliżam się i ja. Wkrąg wesoło płonącego ogniska, na ławkach, ad hoc harcerską przemyślnością skleconych i zaścielonych kocami, siedzą zaproszeni przez gościnnych harcerzy, letnicy i tubylcy — huculi. Wszyscy z ciekawością przysłuchują się śpiewom. Niektórzy, bywalcy w obozach harc., w poprzednich latach, również śpiewają.

Śpiewy przeplatane różnymi produk-

cjami, ekwilibrystycznie — tanecznymi, nagradzane są huculską oklaskami.

Młodzieńki — bo ledwie od ziemi dorosły — harcerzyk, dorzucił drew do ognia, który na chwilę przygasł, by znowu trysnąć snopem iskier i kaskadą płamieni. Z koła wysuwa się inny, starszy harcerz z toporkiem w rękę i zaczyna taniec zbójnicki, do pieśni

Tańczy zgrabnie, lekko i z werwą. Radują się oczy nasze, dziwią się huculi, których taniec zbójnicki różni się od zbójnickiego podhalańskiego. Słowa piosenki, wraz z akompaniamentem klaszkania w dłonie, podniecają tańczącego harcerza. Widać, że chce zaprodukować swój taniec jak najlepiej, poto tylko, by pokazać tu, na wschodnich rubieżach, jak tańczą Górale z Tatr.

A potem piosenki za piosenkami — co młodość beztroska i wiara niezmarła zrodzić je musiała — płyną jedna za drugą.

A potem, najmłodsze harcerzyki popisują się dziwnie skompikowanymi łamańcami, mającymi charakteryzować zręczność i zwinność — i znowu pieśni... przerwane głosem trąbki. Rozbawione twarze poważnieją, wszyscy wstają — i z młodych piersi, pod nieba strop wzbija się pieśń pełna wiary... „Pod Twą obronę“... następnie pada komenda: Do sztandaru!

Wyprostowały się na baczność dzielne harcerzyki, w górę strzeliły młode ramiona, rozległ się głos trąbki, grającej wieczorny apel...

Z masztu powoli zjeżdża poczęła flaga biało-czerwona, żegnana na noc, opuszczeniem rąk. Padła druga komenda: Modlitwa!

Ku ziemi pochylili się kornie postacie harcerzy, niektórzy z gości też przyklekli, do stóp Stwórcy popłynęła prosta, lecz z serca modlitwa, za Ojczyznę, poległych harcerzy, za wszystkich i za siebie. Modlitwa, której Bóg napewno wysłucha. Po modlitwie chwila skupienia — coś w rodzaju rachunku sumienia... ognisko zagasa...

Na zakończenie tworzymy wspólny łańcuch. Spleceni uściskiem dłoni, harcerze, goście i huculi, słuchamy ostatniej piosenki:

„Idzie noc, słońce już zeszło z gór,
zeszło z pól, zeszło z mórz,
w cichym śnie głowę złożył...
Bóg jest tu...”

Zerwane podmuchem wiatru, strzeliły z pod kupy popiołów iskry — ostatni raz... ognisko zgasło...

Na drugi dzień rano, wścibiam swój nos do obozu, włączając bez pardonu do centralnego namiotu, na którym powiewa mała chorągiewka, a na deszczulce napis oznajmia... „piekło“. Odważnie wchodzę do tego „piekła“. Witają mnie trochę zdziwione miny komendanta obo-

Po wygnaniu z ich siedziby w „Grande Chartreuse“ przenieśli się Kartuzi do Włoch, gdzie w pobliżu miasta Lucca mieści się obecnie główna siedziba całego zakonu. Natomiast słynna fabryka likierów przeniesiona została z Grande Chartreuse do Tarragony w Hiszpanii.

Zakon Kartuzów posiada klasztory i w innych krajach europejskich. Jednym z najpiękniejszych jest klasztor w Val Sainte, w Szwajcarii francuskiej, położony wśród przepięknej okolicy, a stóp niebotycznych olbrzymów alpejskich. (R.)

zu dh. G. i innych harcerzy, ale udając, że tego nie spostrzegam, oznajmiam ci swojej wizyty i zaczynam... wywiad.

Brać harcerską znaną jest z gościnności i łatwości w obcowaniu, to też atmosfera sztywności prędko mija i po chwili gawędzimy jak starzy znajomi. Wywiad zaczynam od... strony materialnej.

W obozie jest 30 uczestników, wraz z dwoma opiekunami i drużyny harcerskiej im. ks. Józefa Poniatowskiego z Brzeska. Koszt pobytu w obozie, wynoszą na głowę coś ok. czterdzieści zł., z czego większość harcerzy mogła zapłacić tylko połowę. Trochę pieniędzy dostali z Hufca, trochę dały różne organizacje i instytucje społ. z Brzeska — i jakoś „biedę się klepie“. Zapytuję, jakie wrażenie zrobiły na obozowiczach Karpaty Wschodnie?

— Karpaty Wsch. bardzo nam się podobają, — otrzymuję odpowiedź. — Tutejszą florę, przy każdej sposobności porównujemy z florą Pienin. W naszych obserwacjach doszliśmy do wniosku, że góry w Karpatach Wsch. są bardziej dzikie niż w Pieninach, dzięki ogromnym głazom. Nieraz wygląd takiej skalistej góry przejmował nas grozą.

— A tutejszy lud?

— Zainteresował nas bardzo — pada odpowiedź. — Piękne ich stroje, z których widać, że w doborze kolorów mają gust, oraz spotykane na każdym kroku zdobnictwo huculskie, bardzo nam się podobały. Obserwujemy życie huculskie i nawiązujemy kontakt z tymi nawskróś pocziwymi góralami, przy każdej możliwej sposobności.

— A jak z wycieczkami? — zapytuję.

— Niestety, prawie przez cały czas obozowania, mieliśmy deszcz, tak, że wycieczek urządziliśmy mało. Do Jiremcza, dwa razy na Świniankę, na Gorgan Buraczykowski, do Worochty, na Makowicę i Howerle.

...

W czasie pobytu w obozie poznałem obu opiekunów, prof. gimn. z Brzeska. Po chwili wychodzimy przed namiot. Ciekawie rozglądam się po obozie. Takie sobie małe państewko. Ładne, kamieniami znaczone ścieżki, klomby, na których zamiast kwiatów, powitykano młode świerki.

Zapytuję, co oznacza tablica przed namiotem komendanta z napisem „piekło“.

— Bo tu proszę pana, — odpowiada sympatyczny komendant obozu, dh. G. — mieszkają same diabły: Belzebub, Lucyfer i Mefisto. Na drugim namiocie napis: „Matecznik“ — jest to siedziba „niedźwiedzi i niedźwiadków“. W trzecim namiocie tabliczki nie zauważyłem.

W obozie ruch. Krzątają się dzielne harcerzyki, pośpiewując sobie. Praca wre... Po godzinnej prawie, rozmowie, żegnam miłych gości z Zachodnich Karpat, którzy gorąco zapraszają mnie do ponownych odwiedzin. Dowiedzenia drody Przyjaciele... za rok!

Tadeusz Kwaśniewski

Duch Edisona

Feliks był radioamatorem. Nie był to jego zawód, ale gdyby istniał w jego mieście urząd zatrudniający radioamatorów, byłby z pewnością jego fanatycznym pracownikiem. Zamiłowanie z jakim majstrował Feliks Baroux przy swym odborniku da się porównać jedynie z przyjemnością Kannibalów sprzyjających w swych gorących letniakach pięć razy dziennie białe mięso.

Żone Feliksa i dzieci były nieszczęśliwe. Tylko najbliżsi radioamatorów mogą zrozumieć rozpacz rodziny Feliksa.

Każdego niemal wieczoru żona marlała:

— Dziś musisz zostawić radio w spokoju. Nadają moją ulubioną operę.

Feliks był wzorowym małżonkiem. Obiecywał solennie, że umożliwi żonie wysłuchanie transmisji. Usuwał się w kącie i z zamkniętymi oczyma oczekiwał pierwszych akordów. Zaledwie zabrzmiała jednak muzyka, Feliks był już przy aparacie. Jeden czy dwa ruchy ręką wystarczyły, aby zamiast upojnych tonów odezwała się kakaofonia gwizdów i trzasków.

— Jesteś niezdolny Feliksie mówiła żona, czyż naprawdę nigdy nie przestaniesz ławić się tym odbornikiem?

— Bawić się? — zdziwił się Feliks. Czy naprawdę nic nie rozumiesz?! Przecież opera zaczyna się tonacją F-dur, ta tonacja jest wprost dla ucha zabójcza muszę natychmiast włączyć kondensator, który ją w odpowiedni sposób zmienia.

Chwileczka. Zaraz będzie dobrze.

— Ależ mój drogi to nie była wcale tonacja F-dur.

— Nie F-dur? Naprawdę nie? Nic nie szkodzi, — mruczał lekceważąco Feliks jakby odpędzając przeszkadzającą w pracy muchę. Ja chyba najlepiej wiem co to jest tonacja F-dur! Chwileczka zaraz będzie dobrze.

Zapowiedziana chwileczka trwa trzy godziny. Wreszcie zwracając się z tryumfującą miną do zasypiającej z nudów rodziny Feliks zawołał:

— Uwaga! Wszystko gotowe. Teraz już możecie słuchać.

Niestety transmisja opery była już skończona, a speaker w tej chwili właśnie mówił: — Na tem kończymy audycję i życzymy wszystkim radiosłuchaczkom i radiosłuchaczom dobrej nocy.

Powtarzało się to niemal codziennie. Feliks zawsze wynajdywał powód, który umożliwiał mu zaspokojenie radioamatorskiej pasji. Nietkto F-dur ale także F-moll, Cis-dur, H-moll i G-dur według jego zdania źle wpływały na zmysł słuchu. Kiedy indziej znowu audycja była za cicha, albo była za głośna, raz przeszkadzała interferencja obcej stacji, a raz zjawiały się zbyt silne trzaski atmosferyczne... Feliks lamentował: — że też ja nigdy nie mogę wysłuchać porządnie audycji. Zdaje mi się, że naprawdę jeszcze nigdy nie słuchałem radia przez pełną godzinę.

Tak istotnie było. Gdyby Feliks był posiadaczem samochodu również używałby go tylko do naprawiania a nie do jazdy.

O wybudowanych przez Feliksa Baroux aparatach można pisać tomy. Trzylampowy odbornik, który go kosztował pół roku pracy, rozebrał, aby zrobić czterolampowy. Ten znowu, aby zmienić na pięciolampowy. Ale i pięciolampowy podzielił los swoich poprzedników, gdyż w piśmie „Radioamator” ukazał się jakiś rewelacyjny schemat ultrasuperheterodyny za pomocą której można było słuchać... śpiewu słowików zabranych pod biegun przez ekspedycję Byrda.

Trwało to lata. Żona Feliksa przyzwyczaiła się już że gdy chce słuchać radia musi udać się do sąsiadki, a dzieci do sąsiadów sąsiadki.

Tylko Feliks zostawał w domu i samotnie oddawał się zajęciom, które nazywał dostosowywaniem odbornika do ostatnich wskazówek „Radioamatora”.

Zdarzało się, że zasiadał do odbior-

nika świeżo ogolony a odchodził z długą brodą. Był już niema! doskonały. Żaden inżynier radiowy nie znalazł się na radiotechnice tak jak on, żaden też zapewne nie czuł w sobie tyle do tego powołania.

W miarę jak rozwijał się talent Feliksa wzrastała rozpacz żony

Kochała przecież męża ale nie mogła zrozumieć tej pasji. Lekarze, którzy się radziła wzruszali ramionami. „Jest to niewątpliwie maniak. Nie należy mu jednak przeszkadzać, gdyż mogłoby to wywołać zbyt niebezpieczny wstrząs”.

Wreszcie znalazł się lekarz, który chciał zrobić eksperyment. Dowiedział się, że Feliks Baroux interesuje się też okultyzmem.

— Mamy trzy drogi do wyboru — mówił do zrozpaczonej pani Baroux, albo obietniemy mu ręce, co mi się wydaje środkiem zbyt radykalnym, albo też zwiążemy mu je, ale to również jest nieco okrutne. Pozostaje więc tylko chytrym podstępem zmusić męża Pani do tego aby sam dobrowolnie wysłuchał przynajmniej raz audycji nie ruszając aparatu. Przyjdę wieczorem do państwa. Zobaczymy co się do zrobi.

Tegoż wieczora, gdy jak zwykle Feliks siedział przy aparacie coś w nim poprawiał, zapukał ktoś nagle do drzwi. Wszedł młody lekarz w towarzystwie drugiego pana.

— Czy zastałem pana Feliksa Baroux?

— Tak to ja jestem, czego panowie sobie życzą?

— Nazywam się dr. Duvernois. Jestem przewodniczącym towarzystwa spirytystycznego. Wczoraj w czasie posiedzenia zjawił się nam duch wielkiego Edisona i wymówił tylko pańskie naz-

wisko. Nic więcej. Chciałbym wobec tego...

— Edison? — krzyknął prawie Feliks opuszczając śrubociąg i obcegi na ziemię. — I wymówił moje nazwisko?

— Tak odpowiedział dr. Duvernois. Może teraz zrobimy mały seans. Musimy dowiedzieć się czego chciał Edison wymawiając pańskie nazwisko.

I zanim Feliks Baroux zdolał się zorientować asystent dr. Duvernois ustawił na środku pokoju stolik, zciemnił światło i rozkazał wszystkim obecnym ałożyć ręce na stole w ten sposób, aby tworzyły nieprzerwany łańcuch. Zapadła denerwująca cisza.

Wtem jakby z podziemi rozległ się głos:

— Hallo. Tu mówi Edison. Proszę włączyć aparat radiowy!

Feliks Baroux pobiegł natychmiast aby wykonać rozkaz. Drżąc ze wzruszenia włącza odbornik. Popłynęły pierwsze dźwięki muzyki.

Za chwilę łańcuch rąk zamknął się znowu. Wtem Feliks ponownie podbiegł do aparatu krzycząc:

— To jest tonacja F-dur! Nie mogę pozwolić, aby znakomity wynalazca nawet po śmierci nie miał spokoju przez tę szkodliwą tonację.

— Proszę się uspokoić zawołał głosem nie znośącym sprzeciwu dr. Duvernois. Nie można w tej chwili przerywać łańcucha. Feliks usłuchał tem bardziej, że rozległ się głos samego Edisona: — Proszę słuchać i ręce trzymać przy sobie! — I popłynęła dziwna opowieść ze światów. Edison podkreślił jak wiele szczęścia daje słuchanie radia, a jak mało zadowolenia sprawia szukanie nowych możliwości radiotechnicznych, gdy za laboratorium służy jadalnia dwupokojowego mieszkania.

Wystawa światowa w Brukseli

W pobliżu zamku królewskiego w Laeken, na północny wschód od Brukseli rozciąga się wielka wyżyna Ossegheem, pokryta starym, pięknym lasem.

Już król Leopold II. rzucił projekt wybudowania tam całej nowej dzielnicy, mającej stanowić niejako przedmieście dla przeludnionej i rozrastającej się w szybkim tempie Brukseli. Projekt ten jest obecnie bliskim realizacji, a to dzięki wystawie światowej, której otwarcie nastąpić ma 25 kwietnia 1935.

Organizatorzy wystawy wyszli z

założenia, że tego rodzaju wielka i niesłychanie kosztowna impreza jest jedyną sposobnością do powiększenia obszaru stolicy, zgodnie z zasadami wytycznymi współczesnego urbanizmu. Bruksela otrzyma zatem cały teren powystawowy, odpowiednio przygotowany i częściowo już planowo zabudowany.

Na obszarze stu szesnastu hektarów podjęte zostały przedwstępne prace, polegające na splantowaniu całego terenu, założeniu rur wodociagowych, kanalizacyjnych i gazowych, przewodów

Mało tego. Edison swym zaziemskim głosem zaklinał się, że żadna tonacja nie jest tak piękna jak właśnie F-dur.

— Feliksie! Feliksie! — mówił do strwożonego radioamatora Edison — patrz codziennie do wnętrza twego domu. I boli mnie serce, gdy widzę, że jeszcze nigdy przez godzinę nie słuchałeś radia mimo pięciu aparatów własnoręcznie zrobionych. Feliksie myś! o wieczności. Jeżeli — tu głos Edisona nabrał szczególnie uroczystego brzmienia — nie będziesz słuchał radia w życiu doczesnem, wówczas po śmierci nigdy nie będziesz mógł zrobić zwyczajnego detektora.

Feliks przerażony i zdumiony widzi, że żona, dzieci, dr. Duvernois i jego asystent — wszyscy z największą powagą słuchają głosu ducha wielkiego wynalazcy. Edison kończy: — Musimy znaleźć jakąś drogę wyjścia, gdyż los twój przejmuję mnie trwoga. Feliksie, przerceknij mi, że przynajmniej przez godzinę dziennie zostawisz aparat w spokoju, aby móc słuchać radia. Dopiero potem możesz robić swoje radioamatorskie doświadczenia. Przyrzeknij to.

Z głośnika płynęła muzyka w tonacji F-dur z wkładkami E-moll. To rzeczywiście cudne myślał Feliks. Jak przyjemnie jest być radiosłuchaczem.

Wyszeptał więc wzruszony: Przyrzekam!

Seans skończył się. Czekając wprawdzie jeszcze kilka minut, ale duch Edisona nie pojawiał się.

Dr. Duvernois i jego asystent zgagnają się z Feliksem Baroux, który siedział zamyślony. Pani Baroux odwozowała gości do przedpokoju.

— Dziękuję panu panie doktorze, — mówiła z uśmiechem.

— Podziękowania należą się właściwie memu asystentowi. Nie ja jako lekarz, lecz on, jako bruchomówca jest pani dobroczyńcą. F. P.

Zastosowanie aluminium w budownictwie

Jeszcze przed pięćdziesięciu laty aluminium było metalem bardzo rzadkim, pewnego rodzaju osobliwością, sprótykaną tylko w laboratoriach.

Dzięki jednak swym wielkim i różnorodnym zaletom znajdowało ono stopniowo coraz szersze zastosowanie, — i dziś należy aluminium do powszechnie używanych materiałów, zajmując pośrednie miejsce między drzewem a stalą.

Po naczyaniach kuchennych i rowerach przyszła kolej na meble: stoły, krzesła, fotele, szafy, wieszadła. Meble te posiadają tę wyższość nad meblami drewnianymi, iż są lżejsze, odporne na ogień i dają się bez trudu utrzymywać w absolutnej czystości.

Ostatnio znajduje aluminium coraz częściej zastosowanie w budownictwie. Pierwsze próby w tym kierunku, podjęte w Ameryce przy budowie drapaczy chmur, dały doskonałe rezultaty. Aluminium, jako materiał bez porównania lżejszy, wytrzymuje zwycięsko wszelką

konkurencję z żelazem i stalą. A ma nad nimi i tę jeszcze wyższość, iż nie rdzewieje.

Pod względem technicznym aluminium i jego rozmaite aliaże nadają się do wszelkiej obróbki w tym samym stopniu, co każdy inny metal.

Na ogół można powiedzieć, że techniczna obróbka aluminium wymaga zaledwie połowy czasu potrzebnego na analogiczną obróbkę żelaza czy stali, — co w kalkulacji kosztów odgrywa wcale poważną rolę.

To też można przewidywać, że lekki ten, a trwały i tani metal oraz jego różnorodne aliaże staną się wkrótce jednym z najważniejszych, niezbędnych materiałów budowlanych, zarówno w architekturze, jak i w dekoracji wnętrz.

Dodajmy do tego, że aliaże aluminium dają się z łatwością fasonować, spajać elektrycznie, niklować, chromować, — a zrozumiemy, ile nowych i różnorodnych możliwości zyskało budownictwo dzisiejsze w tym metalu.

elektrycznych, oraz na wybudowaniu dróg i ulic. Wszystkie te, bardzo kosztowne, inwestycje, przedstawiają trwałą wartość i pozwolą na szybką rozbudowę całej dzielnicy z chwilą zakończenia wystawy.

Nie zapomniano jednak o żadnych atrakcjach, mogących ściągać tłumy zwiedzających. W środku całego terenu buduje się wspaniały pawilon centralny o wymiarach: 150 mtr. długości, 87 mtr. szerokości, a 31 mtr. wysokości.

Gotowy już stadion sportowy, o 195 mtr. średnicy, pomieścić może 75 tysięcy widzów, w czym 7.500 znajdzie miejsce na krytych trybunach.

Wśród 17 hektarów lasu, poprzerznanego szerokimi alejami, wybudowano sztuczne jezioro, nad brzegiem którego stanie teatr pod gołym niebem. Niemalą atrakcją będzie też oddział kolonialny, obrazujący pracę i bogactwo kolonii.

Sukces tej wystawy wydaje się już dziś zapewniony. Nie sprawdzili się obawy i przepowiednie pesymistów, iż szalejący kryzys ekonomiczny i kompresje budżetowe oraz niepewna sytuacja polityczna odstraszą inne państwa od wzięcia czynnego udziału w wystawie. Już obecnie cały szereg państw zapowiedział oficjalnie swój udział, od Anglii i Francji począwszy aż do Brazylii, Łotwy, Egiptu i Etoppii.

Wystawa światowa w Brukseli będzie doniosłym wydarzeniem politycznym i ekonomicznym, stanowiąc nową, wielki krok na drodze pokojowej współpracy wszystkich narodów.

(kr.)